

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr.— półroczna 3 Złr.— kwartalna 1 Złr. 30 kr.— miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr.— kwartalnie 2 Złr. m. k.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza piśmieci petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1 1/2 kr. i za doplatą 10 kr. stał. za każdorazowe umieszczenie. Biuro ekspedycji w księgarni H. W. Kallenbacha

WIELKIE NADZIEJE.

(Dokończenie.)

Znosił to wszystko nasz Szczęsny ze stoiczną odwagą, i nie żałował baronowskich świetności. Bo był wolny! Wolny! to wielkie, to piękne słowo, wznoszące ducha i serce do myśli i uczuć tysiąca. A był w wieku i żył w czasie, kiedy to słowo miało rozgłos pełen echów i cudnej harmonii.

Te myśli i uczucia rozbudziły w nim nazad dawny popęd poetyczny i już się zaczął wahać, czy ma zostać wielkim filozofem, czy wielkim poetą. Niemal do weny poetycznej przykładał się sam jego wiek młody, którego wszystkie myśli i marzenia, chęci i uczucia są już same przez się poezją, jak w wiosnie wszystko jest kwiatem. A ten raj jeszcze w jego pomieszkaniu! Tym rajem oczywiście był przedmiot jego pierwszej miłości, który mieszkał na tem samem poddaszu na drugiej stronie komina.

A więc idąc za przykładem wszystkich rymotwórców młodzieńczych, zaczął przemawiać do tego ze wszystkich twórców boskich najcierpliwszego księżycy, który od tylu wieków znosi wszelkie wybryki poetyczne, zwracane do jego bladych, srebrzystych, melancholijnych, rozmarzających i

Bóg wie jakich tam jeszcze promieni.

Od pierwszej ody do księżycy zacząwszy, której początek brzmiał dziwnie romantycznie:

Księżycu! czego świecisz? niemasz świecić komu,

Sam jeden bez kochanki, powracam do domu,—

którą skomponował między krupiarzem i kominiarzem, przeszedł Szczęsny do pieni elegijnych, poświęconych

Piękniejszej od róż i fiołków Anulce,

Godnej nosić z gwiazd samych tkane kolce.

Miłość jego do Anulki choć przesadzista, urojeniami jakby płaszczem arlekińskim aż do śmieszności posztukowana, niemniej przeto była szczerą i poczciwą.

Takie bywają miłości studenckie, młode, które najczęściej długo nie trwają, bo je rozrywa rzeczywistość, odczarowująca wszystkie młodociane złudzenia.

Lecz są ludzie innego usposobienia i takim był Szczęsny, przeznaczony, by był zawsze młodym, wiecznym studentem, któremu zwykle śmierć przedwczesna i marna daje absolutorium z tej szkoły życia, w której niczego się nie nauczył, coby mu się mogło przydać z tej strony grobu.

Tacy ludzie noszą na czole piętno swego przeznaczenia. Takim był Szczęsny, którego słuszniej powinien był ksiądz ochrzcić Nieszczęsnym.

Kochać wiernie aż do śmierci postanowił Anulkę swoją, bo już ciż ona go kochała, kochała z całym zapalem młodzieńczej, czystej, a dziewiczej duszy!

Biedny głupcze! ale poczciwy głupcze! Szkoda tylko, że świat poczciwości nie szanuje, a z głupstwa się śmieje.

Miłość swoją do Anulki nosił przy sobie jak dawniej mnichy kolącą włosienicę, by mu obowiązkiem ciążyła na sumieniu. I wszystkie swe myśli, wszystkie plany przyszłości ku niej stale zakierował.

Jakże jej nie miał kochać, kiedy ją poznał jeszcze w Przemysłu małym dziewczęciem, i już wtenczas, gdy przechodził do sklepika, w którym ojciec jej sprzedawał patyczki, drzewo, bułki i postronki dla podróżnych, wtenczas już niebiesko-okie dziecko patrzyło na czarno-okiego chłopca, jak na bóstwo jakie, jak w tęczę.

Jakże jej nie miał kochać, kiedy bywało jak wbiegnie do sklepu, aby kupić bułek dla swego panicza, poczciwe dziewczę siedząc w kąciku zaraz mu z oczów pozna, że wybiegł na czczo jeszcze, i póty się kręci koło niego, póty łasi, nadszakuje i uśmiecha, póki mu nie odda parę bułek i jabłuszek danych jej na śniadanie. Tym sposobem zawiązał się serdeczny stosunek między Szczęsnym i Anulką. Ona mu była w Przemysłu całą pociechą, gdy go młody graf wynęczył kaprysami swemi; z nią jedną umiał rozmawiać tak prosto od serca, bo ona jedna najcierpliwiej słuchała, gdy jej kilkakroć powtarzał dzieje swego dzieciństwa, i opisywał rodzinny wioskę, rodzinny dom, i rodzinnych przyjaciół.

Gdy jechał do stolicy, pożegnanie z Anulką należało do najboleśniejszych chwil w życiu Szczęsnego. A dziewczę zplakało się okropnie. Łzy i uśmiech stósownie do okoliczności, to była jej cała wymowa, bo nie wiele lubiła rozmawiać, i poprawdzie nie wiele umiała rozmawiać. A ta wymowa najdzielniej trafia do serca młodego.

Po smutnem rozłączeniu byłby się ten stosunek zerwał zapewne, jak się zrywają podobne stosunki za pomocą zapomnienia — gdyby nie przypadek; ten przypadek, który jest zwykle najpłodniejszym powieściarzem, tworzącym zawiśnięcia, na jakie się nie zdobędzie najdzielniejszy pisarz.

Po wyjeździe Szczęsnego, stary i chorowity ojciec Anulki umarł, a z jego śmiercią i biedny ich handelek upadł. Wdowa w głowę zachodziła co tu robić; aż jej nagle na myśl przyszło, że ma we Lwowie jakąś cioteczną siostrę, która jest zawołaną szwaczka. Przedawszy tę odrobinę sprzętów jakie posiadali, dostały się matka z córką do Lwowa. Anulka poszła do ciotki na naukę; szyla pracowicie i cicho, a zawsze przy okienku, i z bijącym serduszkim wyglądała na ulicę, czy nie ujrzy ulubionego Szczęsnego.

Długo wyglądała, aż przecie w szczęśliwy jakiś poranek, gdy wybiegła do sklepika za mlekiem zdybała go na ulicy. Co to była za radość, a z jakim krzykiem porwała go za rękę i zawołała po imieniu!

I Szczęsny się ucieszył niepospolicie, a uciecha ta była mu w tej chwili tem potrzebniejszą, że właśnie dowiedział się przed kilką dniami o śmierci ojca, który syt lat i pracy spoczął koło ścieszki pod zieloną mogiłą. Ze śmiercią ojca ostatni urwał się węzeł z lubą dziecinną przeszłością, ale natomiast z przybyciem Anulki nowa mu w przyszłości zakwitła nadzieja. Obojga sieroctwo smutne stało się dla nich nowym węzłem.

Odtąd Szczęsny przybiegał często, by odwiedzić Anulkę, aż gdy po roku czy dwóch umarła stara jej ciotka, przeniosła się z matką na to same poddasze, na którym mieszkał Szczęsny.

Matka prała a Anulka wyuczona przy ciotce stała się szwaczka. Wszyscy troje zarabiali jak mogli nie żalując pracy, a choć nieraz nędzę znosili, ta była im znóśniejszą, bo znosili ją wspólnie. Mimo szczupłych dochodów swoich, Szczęsny zawsze przecie przyniósł coś Anulce w niedzielę, bodajby skromny jaki kwiateczek za ostatni grosz kupiony.

Kochali się oboje serdecznie, choć o tem nie wiele mówili między sobą, i nic nie mówiąc o planach przyszłości wierzyli oboje, że się muszą kiedyś pobrać, bo bez siebie życia nie rozumieli. Szczęsny uważał to za konieczność, że Anulka będzie kiedyś jego żoną; a Anulka ani-by nawet pojąć zdołała, żeby kto inny nie Szczęsny miał być jej mężem. A cieszyła się tą przyszłością jak najwyższem szczęściem, bo wedle jej zdania świat cały nie posiadał nic piękniejszego, i rozumniejszego nad Szczęsnego. Szczęsny ani się cieszył ani gryzł tą nadzieją; Anulki nie podziwiał, bo nawet nie przychodziło mu na myśl, zastanawiać się nad jej urodą lub zdolnościami.

Co do urody, Anulka miała jedną z tych twarzy ani pięknych ani brzydkich. Nie było u niej ani w oczach, ani na twarzy, ani na ustach tego wyrazu, który kobietom nadaje tyle wdzięku. Na jej twarzy był wieczny spokój a oczy jej patrzyły na świat ot tak sobie po prostu. Szczęsny lubił ją nawet za to, bo jak dawniej ona go najcierpliwiej słuchała, a w jej oczach przeglądał sie-

bie i swoje myśli i uczucia, jakby w zwierciadle. Biedak taki jak on nie łatwo znaleźć mógł słuchających, a z drugiej strony milczące uwielbienie Anulki podchlebiało jego miłości własnej.

Zaczął więc Szczęsny na prawdę myśleć o jakimś dla się zawodzie, któryby dał jemu i Anulce potrzebne utrzymanie. Nie zdawało mu się to trudnem, bo przecież czuł w sobie to przeznaczenie swoje do czegoś znakomitego. Odtąd uczył się jeszcze pracowiciej, i o tyle się odmienił, że kończąc prawa przestał marzyć o filozofii i poezji, ale widział się już zato w duchu prawnikiem, urzędnikiem a nawet wielkim prawodawcą.

Co do innych życia stosunków, lubiony był dosyć przez szkolnych kolegów za swoje poczciwe serce. Gdy mówię o kolegach, rozumiem pod tem uczniów podobnego jak on pochodzenia. Panicze uczący się znali go także i witali ale od niechcenia, dla zachowania tylko onej panom przyzwyczajonej popularności. Niemiał nawet czasu szukać towarzysztw, oddany jak mówiliśmy ciągłej pracy i nauce. A tę pracę i naukę biednego studenta, który pracuje razem na teraźniejszość i przyszłość, trzeba widzieć z bliska, ażeby ją zrozumieć. Jest to jakby więźnia galerowego, bez ustanku, bez odpoczynku i bez rozrywki. Koło takiego studenta biednego wszystkie stołeczne przyjemności tak mocno nęcące, przemykają gorąco pożądane, a nigdy nie użyte.

Niemniej przeto wszyscy koledzy Szczęsnego, widząc że egzamina dobrze mu się udają i że zawsze dzięki nadzwyczajnej oszczędności swojej i sztuce Anulki, która jego bieliznę i garderobę cudownym utrzymywała sposobem, porządnie był ubrany, krzyczeli na wysięgi:

— Ten Szczęsny ma prawdziwe we wszystkim szczęście.

Lata tymczasem mijały i przyszła nareszcie chwila, w której miała się objawić w rzeczywistości prawdziwość jego szczęścia. Skończył prawo nasz Szczęsny, i wówczas dopiero po raz pierwszy zaczął się na serjo zastanawiać nad przyszłością swoją, i zrobił rozrachunek sumienny z nadziejami i zdolnościami swemi.

Uczył się wiele, i umie wiele, ale co z tego wszystkiego, co przez lat tyle pchał sobie do głowy, da mu w życiu chleb powszedni, w tem sęk! Ogląda się na około i widzi kolegów setki prawie, równie obdarzonych jak on pakunkiem nauki szkolnej, i wszyscy chętni i żądni przepchać się w świecie. Coś nakształt bolesnego przecucia przemknęło przez serce naszego Szczęsnego, lecz wnet smutne odrzuciwszy myśli na bok, rzekł sobie jak najgłośniej.

— Jakoś to będzie!..

I poszedł praktykować przy magistracie stołecznym.

Przychodziło mu na myśl udać się do grafowicza i baronowiczów po protekcyę, ale z jednej strony tyle prze-

cie nabrał doświadczenia, że wiedział, jakby daremne a upakarzające dla niego były podobne zabiegi. Wszakże zdobywał ich czasem i zawsze witał jako znajome; i zawsze zdobywał go ukłon zdziwiony, obojętny, lub urażający pogardliwym lekceważeniem.

— To syn ekonoma naszego! przemówił młody graf do idących z nim towarzyszy, jakby się chciał tłumaczyć przed nimi z takiej znajomości.

— To syn ekonoma z przemyskiego! mówili baroniki w tymże samym celu.

Zaczął więc praktykę. Koledzy zawsze powtarzali wykrzykniki dawne o jego szczęściu, a biedny Szczęsny pracował olbrzymio, bo i godziny urzędowe trzeba było przebyć i starać się jeszcze o chleb codzienny, zdobywany to lekcjami to przepisywaniem po całych nocach.

Gdzież jego marzenia dawne, że będzie wielkim mędrcem, wielkim poetą, wielkim sędzią lub prawodawcą?

Tam gdzie wszystkie idą marzenia ludzkie! Na wiatr puszczone, wiatr też je porwał. Kończyły się na bezpłatnej a zmuśnej praktyce przy magistracie.

Jeszcze jedno zaszło ważne dla Szczęsnego pytanie. Co zrobić z Anulką, której właśnie matka podówczas po długiej a kosztownej umarła chorobie. Co się ta biedna dziewczyna przez czas tej choroby napracowała! co namęczyła i Szczęsny przy niej! Szczęśliwi i bogaci nie rozumieją tego, i nie chcą rozumieć, trwonią pieniądze za udane dramata, kiedy tam po ubogich poddaszach odbywają się żywe dramata, którymby pomoc i ulgę przyniosła część tych przetrwonionych dostatków. Że się z nią będzie żenił, o tem nie było pytania, ale czy ma się z nią zaraz żenić! Radziby biedacy oboje, ale obojga nędza nie dozwalała im tego.

— A więc czekajmy!...

I czekali jeszcze rok, i dwa i trzy. Lekko wymówić, ciężko przeżyć w pracy i nędzy! Szczęsny pracował pilnie, a żadnej nie opuścił sposobności, by się o jakie starać choćby najskromniejsze miejsce. Dawno już, dawno puścił w niepamięć błogie lat młodszych marzenia i nadzieje.

I po latach kilku Szczęsny dostał miejsce. Został prowizorycznym asesorem przy prowizorycznym magistracie w małej i lichej mieścinie na Podolu, z pensją 400 złr. mon. konw.

Co to było krzyku, a co zazdrości, a nawet nienawiści i gniewu pomiędzy kancelaryjnymi kolegami Szczęsnego!

— Ten człowiek ma obrzydliwe szczęście! krzyknęli głosem i wrzaskiem za nim.

Szczęsny już sam niewiedział, co ma mówić i myśleć. Jak muł wdrożony do znoszenia ciężarów, przyzwyczał się do tej pracy bez wytchnienia. Już nie marzył, nie roił nadziei! wzdychał jeno! Westchnieniami puszczał w świat dawnych marzeń roje.

Anulka przez tych lat parę postarzała się i pochudła niezmiernie. Pobrali się wreszcie szczęśliwi asesorstwo i pojechali do onej mieściny.

— Teraz przecie będę już spokojny! teraz będę używał, — mówił Szczęsny sam do siebie.

Jedno to było marzenie więcej. Pracy nie było wprawdzie wiele, ale i użycia nie było. Pensya ledwie starczyła na życie nader skromne, w mieścinie skąpe były rozrywki, a koledzy Szczęsnego patrzyli na niego krzywo jako na intruza. A co gorzej, po większej części byli to ludzie, w których towarzystwie trudno się rozerwać, mianowicie jeżeli się ma choć cokolwiek więcej myśli i wyższych uczuć, i wyższych od życia społeczeńskiego wymagań!

— Żyć będę życiem domowem! rodzinnem! zawsze przy mojej drogiej Anulce. W jej sercu i w jej towarzystwie całe szczęście życia mego i wielkie szczęście!.. — mówił Szczęsny dobywając ostatnich okruszyn młodzieńczej poezji swojej.

Cofnął się więc w życie domowe, i dopiero pokazało się, że mimo lat kilkunastu razem przebytych, dotąd nie znał Anulki.

Była to kobieta jakich jest mnóstwo w takim stanie. Dobre to poczciwe, ale nędzą i pracą zagłuszone, nie ma tam żadnej wyższości, ni myśli, ni uczuć, której się nabiera tylko za pomocą wychowania lepszego, lepszych towarzystw i czytania lepszych książek. Póki Szczęsny był młodszy o poezję i miłość, widział wszystko w Anulce co widzieć chciał, i wystarczało mu widzieć ją cierpliwa, gdy do niej mówi, widzieć w niej wierne choć smutne odbicie własnych słów i myśli.

Będąc kochankiem kontentował się monologiem, zostawszy mężem zapragnął dialogu. A tu z Anulką ani rusz o dialogu!.. Ona go słuchała jak dawniej, i jak dawniej gołębim swym wzrokiem patrzyła na niego. Lecz to mu już nie starczyło. Nie przyznał się do tego, czyli raczej nie chciał się nad tem zastanowić; westchnął tylko i w pamięci swej szukał lubych dzieciństwa obrazów. Smutna to pociecha, marzyć o tem co już wrócić nie może...

Znowu szukał rozrywki poza domem. Niestety! w miasteczku lichem, w towarzystwie niższych urzędników, zbieranej zwykle drużyny z fusów towarzyskich, nie ma innej rozrywki, chyba u Ieka albo Herszka w szynku. Biedny Szczęsny marzył znowu, marzył cudnie, rozgrzany mocnym a tanim trunkiem. Lecz wracał jeszcze co prędzej do domu.

Nowe w dom weszło błogosławieństwo i nowy kłopot. Urodziła mu się biedna, chorowita dziecina. Weszła w dom choroba i już z niej nie wyszła. Anulka straciła zdrowie. I w domu Szczęsnego był co dzień i co nocy, jęk, płacz i stękanie dwóch istot, których utrzymanie było jego obo-

wiązkiem. A lekarz! a apteka. Żyj że tu z lichą pen-
sya, i bądź szczęśliwy!...

Szczęśny zaczął częściej wychodzić z domu, i rzadziej
do niego wracać. Bo mu te jęki serce krajały, a pomódz
im nie był w stanie. A skoro wrócił, znajdował wymówki
Anulki, słodkie, ale wymówki zawsze. Anulka nic się nie
zmieniła; zawsze dobra sobie i poczciwa, ale znajdowała to
rzeczą słuszną, dopominać się u męża o utrzymanie i wygody.

Biedny Szczęśny coraz częściej zaglądał do Icka i Her-
szka, szukając sztucznych marzeń. A że pierwszy tylko
krok trudny, przyzwyczał się wnet do kieliszka, a za nim
poszło zaniedbanie, i stroju i wszelkiej powierzchowności.

Smutny to upadek moralny! ale konieczny! następu-
jący nieznacznie. Szczęśny upadał coraz niżej. Obdarty,
zawalany, nieumyty nocował nieraz na ławie żydowskiej.
Ci których towarzystwem on dawniej pogardzał, ci teraz
unikali jego. Łzy żony i dziecka padały mu kamieniem
na serce.

Szczęśny był prawdziwie nieszczęśnym!... Cierpiał,
chudł, nędzniał, aż się postarzał przed czasem, skulił i ku
ziemi pochylił.

Raz w późnej jesieni wychodząc od Icka zatoczył się,
upadł w rynsztok, zakrzusił się, krew wyrzucił z siebie i
już nie żył.

Ów szczęśliwy człowiek pod fortunną gwiazdą urodzo-
ny, którego miały czekać takie świetne losy, któremu za-
zdroszczono urzędu tak prędko zdobytego, umarł w naj-
większej nędzy. Nie byłoby było go w czem pochować, gdyby
nie koledzy, którzy się złożyli na prostych cztery deszczek, i
na skromne pokropienie.

I nikt Szczęśnego nie żałował, prócz Anulki, która
rzewne wylewała łzy nad stratą męża, a może też i nad
stratą urojonych nadziei i rzeczywistej choć małej pen-
syki.

J. Dz.

GWIDO.

przez Henryka Jabłońskiego.

EPILOG.

Poranek, — w dzikiej okolicy nad Bohem grób samotny.

Duch święty w glorijskiej wschodzącej zorzy.

C h o r.

Na sąd! na sąd!
Na straszny sąd!
Opuszczaj ducha ziemię!
Wstań iskrą z próby błota!
Wstań gwiazdo biada!

A jeśli błąd,
Lub grzechów trąd
Uciśnię cię, jak brzemień;
A nie przeważy cnota,
Biada ci! biada!
Biada!

Duch nieśmiertelny,
Nieskazitelny:
Materia czyśćcem prób;
W łańcuchu duchowym,
W postępie wiekowym
Początkiem życia
Grób!

Od kresu istnienia
Przez łańcuch stworzenia
Duch łoża technicznie wiak;
Od piasku, kamienia
Po stopniach stworzenia
Do ludzi, — ludzkich ciał.

Nad groby ludzkimi
Ostatni kres ziemi —
Ziemskiego ciała grób;
Lecz żywot ten drugi,
Jest równiejsz zasługi
Żywotem — Jucha prób.

Bez końca, bez końca,
Przez gwiazdy i słońca
Żywoty ducha prób;
Po szezeblach zasługi,
Ze świata w świat drugi
Początkiem życia
Grób!

Bez końca, bez końca,
Przez gwiazdy i słońca
Czystowych ślady dróg.
Na stwórcy aż łonie
Jasnością zapłonie
Duch czysty, jak Bóg. —

Lecz biada! o! biada!
Gdy zbrodni szkarada,
Biblijny grzechu trąd
Zacięży na onym,
O, biada cofnionym.
Na sąd! Na sąd!
Na sąd!

Z grobu wstaje biały duch Gwidona.
G w i d o.

Straszna jasność Boża!
Zakryjcie mię góry!
Pagórki stańcie przedemną!
Wstancie z nieba chmury!
Wstancie chmury z morza!
Zasłońcie w noc ciemną!
W noc ciemną!

D u c h y z i e m i.

Na czole czyja krew
Kraśnieje rubinami?..
Ojcowska! tyś przyczyną,
Zabity twemi on słowami,
I twoją winą!

Wzywamy boży gniew!

D u c h y n i e b i o s.

Przesady go zabiły.
Myśl przeszło wiekowa.

Nowego wieku słowa
Wiek przeszły do mogiły
Wtrącają każdej chwili!
Z starego wieku pieśni,
Jak z powijaków cieśni,
Młodzieńczych duchów ramię
Wyzwolić się sili,
Drużgoce i łamie....
Czy potępisz je panie?

Panie! to kona wiek stary,
Czyliż za jego konanie
Na nowy spadną kary?

D u c h y z i e m i .

Matka leżała
U twoich nóg —
Błagała ze łzami..
Styrana troskami
Bez ciebie skonała,
Niech sądzi Bóg!

C h ó r .

Biada! biada! biada!
Wicher się zerwał kolumnami piasku,
Stuletnie dęby z hukiem się wałą,
Ogniem piorunów chmury się pałą,
Niebiosą w blasku i ziemia w blasku!
Po górach lecą wichry z płomienia,
Jak w dzień ostatni, dzień zatracenia!...

Biały duch smutny w ogniach piorunów,
W łoskotach grzmotu zapada...
Biada! biada! biada!

Lecz oto z ciemnej chmury całunów
Duch matki spływa.

M a t k a .

W pokorze
Staję przed tobą panie!
Litości Boże!

Ziemskie męczeństwo,
Ziemskie łzy i bole,
Niebieską matek jasnością,
Osądź go panie z litością!

Patrz na jego czoło
Błogosławieństwo
I łzy matczyne,
Westchnienie skonu.
Modlitwy moje!
I łzy jako chrztu zuroje,
U twego tronu
Odkupią winę!
To łzy miłości,
To namaszczenie,
Na zmartwychwstanie.

Osądź go panie!
O, na zbawienie!
Boże litości.

C h ó r .

Łzy matki, niebieska rosa,
Spadły do jego trunu,
I znowu świeca niebiosą,
I znowu miłość pioruny.

D u c h y z i e m i .

Smierć Angeli?!

C h ó r .

Spływa duch Angeli,
Zwiany z porannej rosy,
Z promyków jutrenki
Złote ma włosy,
A z mgły poranku,
I z bladej tęczy
Jasne sukienki.

Już przy kochanku,
Dziewica klęczy,
Łzami, perłami
Z bożej korony
Wstawia się za nim...

D u c h y z i e m i .

Zbawiony!

D u c h y n i e b i o s .

Teraz o panie
Oczyszczony z win,
Czyż przed tobą stanie,
Jako niebios syn,
Z duchy niebieskimi?

(d o G w i d o n a .)

Wzywamy sąd na ciebie,
Wyższe miałeś powołanie.
Wziąłeś talenta od pana
I zakopałeś...

A kto zagrzebie

Talent i z lichwą nie stanie,
Już kara przypisana
Przed wiekiem.

Walczyłeś długo!
Wyszedłeś smutny i krwawy;
Ta walka nie jest zasługą,
Walczyłeś dla sławy,
Byłeś człowiekiem.
Cóżeś uczynił dla Boga?
Rzuciłeś cegłę do drobnej
Na gmachach polskiego wiekowy?
Pokaż nam czyny twej głowy
Lub serca?

Podobno

To była rola sucha!
Kwiat wonny, lecz niemocny!
Po trzykroć potępiony
Kwiat bezowocny.

Rzuciłeś lube strony,
Wyrwałeś serce skrzwawione,
I szedłeś między tłumy
Na głód i cierpienia
Dla ducha wcielenia,
I oto trudy skończone,
I myśli natchnione
Duch upromienia,
Zaparteś go dla dumy!
Nie miałeś miłości!

Czy po to schodzą od Boga
Jego posłannicy,
By świat uchylał im czoła?

Wszakże i pychy aniola
W oklasków błyskawicy
Do piekieł idzie droga.

* * *

Z pokorą, miłością i wiarą
Stań przed narodem wybranym,—
Nie z imieniem, z sercem swoim.

Płyn miłości czystym zdrojem,
Zapłon ogniem nieskalanym,
Częstuj rzeszę serca czara...

Choć o pierś twą lody trąca,
Choć odpłaca ci pogarda,
I szyderstwem i obelgą,—
Stój przed nimi z myślą wielką;
Piers na ciosy ma być twardą,
Poświęceniem pałająca.

Każden utwór piękny, wzniosły
O krok jeden ziemię zbliża
Do królestwa wszechjasności.

Drogą waszą niebios posły:
Droga trudu, droga krzyża,
I droga miłości!

A tyś co uczynił?
Przeciw świętemu duchowi
Człowieczeństwu i wiekowi
Ciężkość zawinił!

Za brak miłości
Za dumy błąd
Ducha jasności
Wzywamy sąd!

G h ó r .

Biada! biada! biada!
Duch się w ciemności zapada,
A wyrok boży grzmi:

„Zostań na wiele dni
Na dzikiej Bohu skale,
Jako odgłos dum ludowych.
Nieś je z wiatrem po nad fale
W step—do stromych skał Dnieprowych,
Bądź odgłosem dum pokutnym,
Trącaj serca jękiem smutnym;
Aż się znowu Mistrz urodzi,
Co pracując dla mnie szczerze
Wszystkie dumy w sercu zbierze,
Z serca wygrzmi pieśń swobodną,
Godną ziemi — nieba godną!—
— Ten cię oswoodzi!“ —

Angielska izba niższa.

(Ciąg dalszy)

Ten natłok i wrzawa, które jednak granic powagi nigdy nie przekroczą, trwa do 4. godziny, kiedy izba obrady swoje rozpoczyna. Goście usuwają się i w sali tej zostają już tylko ci, których sprawa przed parlament ma być wytoczona.

O 4. godzinie z kurytarza przez drzwi prowadzące do biblioteki

odzywa się głos, przez portierów powtórzony: „Mr. Speaker” a „Hats off.” Zbliża się bowiem marszałek izby, w ogromnej peruce, w mundurze jedwabnym, a przy nim Sergeant at Arms z ogromną maczugą, paziowie, i kapelan, wszyscy w starożytnych frakach, pantalonach po kolana i ogromnemi klamrami u trzewików. Przybór ten orszaku marszałkowskiego zda się być nietykalną częścią konstytucji angielskiej. Z zniewalającym uśmiechem i powagą na twarzy, kłaniając się na wszystkie strony, postępuje szanowny marszałek i znika w głębi drzwi, które dotąd zamknięte, pokąd pacierze się nieskończą.

Szanownym tym prezydentem izby jest Mr. Shaw-Lefevre, jeden z najdatniejszych oficerów kawalerii w milicji; jestto mężczyzna wzrostu wysokiego, trzyma się prosto i silnie jest zbudowany, głos ma przyjemny i donośny, jednym słowem, jest to wzór marszałka, i ciężko-by było powetować stratę jego. Trzeba bowiem wiedzieć, że jednym z pierwszych obowiązków marszałka izby niższej jest, nigdy nie chorować, gdyż w prawie na tę okoliczność zapomniano, a bez marszałka sesya żadna odbyć-by się nie mogła.

Sala sejmowa jest najdziwaczniejsza może w świecie. Nie jestto bowiem ani czworobok, ani rotunda, jestto coś nakształt bóżnicy lub kaplicy z dawnych czasów, kiedy należało do zasad pięknego stylu kościelnego, a w świątynia była o ile możności niezgrabną. Do tego ciasna i ciemna, i raczej podobna do klatki niż do sali w której zgromadzić się prawodawcy Wielkiej Brytanii, królowej i królów. Sala ta posiedzeń izby niższej niegdyś była tak wielka i przestronna, choć nieordobna, jak sala izby wyższej, ale po wybudowaniu jej spostrzeżono się, że w ogromnych tych sklepieniach i pod ścianami słów mowy dosłyszeć nie było można; więc zmniejszono ją wystawieniem ściany drugiej w kształcie parawanu. Na wysokie galerje, gdzie siedzieli reportery, którzy obrady sejmowe rozgłaszają narodowi, zaledwie głos Stentora dolatywał; oburzyli się więc dzienniki, aby zapobiedz tej oczywistej krzywdzie narodu, chocia ży budowniczego i wszystkich profesorów budownictwa powywieścić miało. Wziął się więc budowniczy do naprawy, zniżył sufit do połowy poprzednie wysokości sali, tak że część okien dziś zakryta. Ma naród satysfakcyą, słyszy każde słowo mowy, ale pełnomocnicy jego siedzą jak w kajucie. Lecz za to sufit jest utworem mistrzowskim, cały złożony z płyt szklanych szlufowanych, i pokryty kwiatami w bladych kolorach, a wśród kwiatów jaśnieją napisy: „Dieu et mon droit,” „Domine, salvam fac reginam” i t. p. W nocy przebija się przez sufit światło jak od księżyca, tyle jasne, że można przy niem czytać i pisać. W tym roku pozakładano poza kolumny, galerję podpierające, różne lampy. Mówią niektórzy, że lampy te na to tylko świecą, aby marszałek mógł widzieć członków prawodawstwa, którzy czasem wśród półciemnej sali w błogich snach się kołyszą. Zda się to być tylko złośliwym sarkasmem, jednako, choćby tak się rzecz istotnie miała, lampy te ze względu ludzkości powinny być wyrzucone, gdyż nikt niepowinien mieć prawa, zatruwać innym chwilę szczęścia niewinnego.

Po prawej i po lewej stronie sali wznoszą się od dołu aż pod galerje rzędy ławek, tak wybite i wygodne, jak fotele portierów. Na północnym końcu wznosi się krzesło marszałkowskie z baldakinem na kształt tronu. Krzesło to tak jest ogromne, że gdyby marszałek dla plec szukał podpory, to musiałby się jak długi położyć. Przed krzesłem marszałkowskiem stoi stół dla trzech sekretarzy, za wielk dla trzech osób, a tak przysunięty do ławek deputowanych, że z trudnością się między nimi przecisnąć można.

Po prawej ręce od wschodu jest krzesło dla Sergeanta at Arms a naprzeciw podobne próżne, a między niemi przeciąga się pręt mosiężny, którego nikomu prócz deputowanych przestąpić nie wolno. Za tym prętem pod galerję południową są dwa rzędy miejsc zamkniętych dla lordów i innych mężów stanu, którzy na ważniejsze debaty

do izby niższej przybyszą, a za nimi ukryci są pomocnicy i suffler mistrzów.

(C. d. n.)

KONCERTA.

* **Koncert towarzystwa muzycznego.** Rzuciwszy pamięcią w upłynione czasy, któż z przyjemnością nie wspomni owe wielkie dzieła, jak: Stworzenie świata Haydena, Zmartwychwstanie pańskie Neukomma, Paulusa Mendelsohna, Zburzenie Jerozolimy Hillera, Puszcze Dawida i tym podobne wzniosłe utwory, z którymi w latach od 1842 do 1848 obznajamiano nas było towarzystwo miłośników muzyki. Po 300 wykonujących liczyliśmy tam osób, wszystkich z grona naszego, a zachwycając się ogromem harmonii tych arcydzieł muzycznych uczyliśmy się czuć wielbić piękność muzyki klasycznej, muzyki, nie lśniącej czczeniem błyskotkami, lecz głębokością myśli i uczucia. Od roku 1848. nastąpiła w naszym świecie muzycznym zupełna cisza, oprócz kilku koncertów przejeżdżających artystów nie słyszeliśmy już większych muzycznych utworów. W tym roku dopiero nowopowstałe towarzystwo muzyczne wierne zdaniu swojemu niezaniebduje obdarzać nas od czasu do czasu dobrnymi popisami muzycznymi. Dnia 30. października odbył się trzeci koncert rzeczonoego towarzystwa. Rozpoczął się Symfonia Beethovena Nr. 4. Kompozycje Beethovena są to prawdziwe poemata w muzykę przeprowadzone, myśli wzniosłe, uczucie silne i fantazji wiele, a wszystko ujęte w karby całej świadomości sztuki, od początku do końca jeden wionie duch twórczy, harmonia pełna, instrumentacja prześliczna, kaźden instrument ma tam swoją właściwą melodyę, która przeprowadzona przez wszelkie formy sztuki łączy się z innymi w jedną piękną całość, ni to pojedyncza gwiazdka w firmamencie świata. W wykonaniu są one nadzwyczaj trudne, wymagają szczególniejszej precyzji i przejęcie się myślą autora, a tem samem nie małej wprawy i wykształcenia muzycznego. Najmniejszy błąd nie zdoła przejść niezważany. Amatorów nasi, lubo od roku 1848, odwykli od podobnych ćwiczeń muzycznych, wywiązali się zaszczynie z tak wielkiego zadania. W ogóle Symfonia szła dobrze, trochę więcej akurataności przy uderzeniu pojedynczych tonów, (w Allegro) więcej równości i okrągłości w podchwytywaniu melodyj między primem i sekundem (w Menuetto) a niezostawałoby nic do życzenia. Po Symfonii nastąpiła fantazyja na fortepian z opery: „Niema z Portici kompozycy Thalberga” odegrana z wielką dokładnością i należytem wdziękiem przez P. Duniecką. Autor nagromadził w tym utworze tyle nieprzeliczonych trudności, że aż strach spojrzeć na ten las nut różnorodnych przegonów, jak powój powiązanych do głównego tematu; mając do pokonania tyle trudności w harmonii podrzędnej w tym quasi akompaniamencie, niepodobna utrzymać właściwego tempa w temacie, jakie autor opery żąda, silne zaś zwalnianie tematu czyli śpiewu głównego, czyni słuchaczom sztukę niezrozumiałą, atoli to już nie zdaje się być winą wykonującej, lecz kompozytora. Uwagi nasze w tym względzie nie dotyczą się więc P. Dunieckiej, owszem należy jej przyznać znaczną szybkość, czystość gry a przytem pewne i miłe uderzenie tonu. Rzęsiste oklaski nastąpiły po wykonaniu tej sztuki, a zawdzięczając tak uprzejmy udział publiczności odegrała p. Duniecka jeszcze Nokturnę Chopina z Esdur. Następnie usłyszeliśmy dwa wokalne utwory: chór na głosy męzkie przez Lortzinga pod nazwą „Die verlorene Rippe (stracone zebro) i „Das Bild der Rose“ (obraz róży), wykonane z taką precyzją i doskonałością, że uniesieni zachwytem najwyższymi oznakami zadowolenia, wyjednaliśmy sobie powtórzenie pierwszego. „Obraz róży” odśpiewał p. Dunder głosem tenorowym czystym, pięknie modulowanym przy towarzyszeniu głosów męzkich, mruzeniem lirę naśladowujących; szczególnie to pomysł akompaniamentu, w całości jednak bardzo harmonijny i efektowy. Pośrodku tych śpiewów odegrał znany nam już z niepospolitego talentu swojego młody skrzypek, p. Kozłowski wielką fantazyją na skrzypce z opery Lucia z Lamermooru układu Artota z

towarzyszeniem orkiestry. Gra jego piękna, pełna uczucia, ton czysty, silny i pewny, postawa spokojna, są to przymioty niemałej wagi świetną rokujące przyszłość. Towarzyszenie orkiestry niudawało się jakoś, należało nieco mniej forte a z większą na grającego uwagą prowadzić. Wieczór ten muzyczny zakończyła wybornie wykonana Uwertura do opery „koń spiszowy” Auber. P. Promiński dyrygował koncertem.

Rozmaitość.

* **Z nad ujścia Wisłoki 15. Października 1854.** — Już od dawna do was się nie zgłaszałem, bo rozliczne nudne, męczące zatrudnienia gospodarskie nie zostawiają biednemu wieśniakowi chwili wolnej, a przytem wypadło mi Kraków odwiedzić; pozwólcie zatem że odkładając na później wiadomości miejscowe, które znowu oczywiście tak jak zawsze, skargani na biedę byćby musiały, wspomnę wam nieco o mojej podróży.

W przejeździe przez Tarnów byłem na przedstawieniu teatru polskiego. P. Pfeiffer, ów prawdziwie niezmiordowany dyrektor przeszkód i nieszczęść które go tutaj spotkały *) urządził scenę w sieni hotelu lwowskiego.

Miejsca widzów były zajęte. Przedstawiano Staroświeczyznę; zapewne sztukę tę znacie, ja niemając czasu pytać o afisz, a nie będąc odnajmionym z repertoarem teatralnym domyślam się że ona wyszła spod obrobienia Nestora literatów lwowskich, lubo siedzący koło mnie jacyś już pod wąsem, zapewne filozofy a może i doktory prawa, utrzymywali w pogadance, że ta sztuka jest wynalazkiem Bogusławskiego. Ciekawy byłem widzieć towarzystwo p. Pfeiffera bo ono przeznaczone do utrzymania teatru polskiego w Krakowie wielce mnie obchodziło. Wiem że moja pochwała mało jest znacząca, jednak powinnować mogę, o ile w jednym przedstawieniu widziałem kilku członków p. Pfeifferowi, kilka mówię, bo całość potrzebuje że się tak wyrażam puryfikacyi.

P. Miłaszewski, gdyby się mniej na sufflera opuszczał, jest artystą dobrym. Panu Królikowskiemu zarzuciłbym trochę przesady; p. Ładnowski znany już dawniej powszechnie; p. Kotowska p. Królikowska i p. Kossorotow są to filary na których może śmiało p. Pfeifer budować przyszłość sceny polskiej, a myślę że publiczność Krakowa będzie umiała ocenić zasługę i zabieg, jakie p. Pfeifer w zebraniu podobnego towarzystwa w tak krytycznych czasach położył.

Idąc kupić bilety ulicą wawową, spostrzegłem za domem Weisasa nie zwykły zbiór ludzi; pokazało się, że przedmiotem tego zbiegowiska było zapewne niezwykle zdarzenie, na drodze bowiem cesarskiej, i ulicy miejskiej, koń żywcem jak był z homontem: wpadł w kanał. Na moje zadziwienie, że w mieście cyrkularnem, pod okiem magistratu, żandarmerji i t. p. coś podobnego stać się mogło, odpowiedziano mi, że to magistrat umyślnie uczynił, ponieważ tyle się namnożyło pijaków, że im rady dać nie można, gdy zaś będą wiedzieć, że podobne samotraski na nich po zastawiano, porzuca przydki nałóg i staną się porządnymi chywatelami miasta Tarnowa.

Otóż to widzicie, co można zrobić, jeżeli kto szczerze bezpieczeństwem i moralnością kraju się zajmuje.

Tak ostrzeżony, oczywiście już ani kieliszka wina ni wódki w Tarnowie nie wypiwszy, przesiadziałem na stołku w Passagierzimmer nce całą, ledwie nad ranem doczekałem się Eilwageru. Ponieważ niebyło miejsca więc w Beiwagenie puściłem się do Krakowa. Kto zna Beiwageny nie będzie się dziwił że już dni czternaście minęło, a jeszcze czuje ją, a najbardziej moje kości, dobrodziejstwo jazdy Eilwagerem.

W Krakowie od A. Masza do Kaifasza odsyłany ledwie dostałem

*) Wiadomo że urządzona widownia, dzięki biegłości tarnowskich budowniczych się zawałiła i dwóch robotników zabiła.

pomieszkanie, ale jakie? Zalecam każdemu, kto się chce sympatycznie leczyć na katar, by stanął w tej stancyi. Brak mieszkania częścią przypisać należy wojskowym kwaterekom, częścią zaś mnóstwu szlachty, co teraz po dziesięcioletniej renty przyjeżdża, a każdy szlachcic jeżeli tylko żonaty, przyjechał tam z żoną, nie dla tego żeby żona obligacye na czepki wymieniała, ale dla tego, że bez tej połowy życia, obligacyj podnieść nie może — wypadki bowiem ostatecznie zmusiły wielu, na żonę zdać prawa tabularne, nie dziwicie się zatem owej czułości małżeńskieij.

Kraków w czasie mojej bytności był ożywiony dwoma wielkimi nowinami: „Sebastopol wzięty” mówili jedni, „Deotyma przyjechała” powtarzali drudzy. — Pierwsza nowina pokazała się fałszywą i jeżeli mówiono dawniej „złapał Kozak Tatarzyną, Tatarzynę go za łeb trzyma” tą razą Tatarzynę złapał wszystkich za łeb. Deotyma ten szczególniejszy meteor na horyzoncie polskim, zabłysnął i w Krakowie, zaimprovizowała ona mnóstwo wierszy, ci co ją widzieli nie mogą się uspokoić z podziwu i uwielbienia, choć sami przyznają że wielu improwizacyj zrozumieć nie mogą, ale to nic nie znaczy, bo zwykle w poezyi to najszczytniejsze co nie zrozumiałe. (D. u.)

* Dziś z rana o godzinie 9. w archikatedrze lwowskiej odbyło się uroczyste nabożeństwo na intencyę Cesarzewicza Jegomości arcyksięcia Karola Ludwika, którego dziś są imieniny. Celebrował JExc. książdz Arcybiskup. Obecni byli temu nabożeństwu wszyscy dostojnicy wojskowi i cywilni, również jak i liczna pobożna publiczność.

Sprostowanie. W numerze Nowin 130. w art. o polskiej krytyce na str. 1135 wiersz 6. zamiast „urazę” czytaj „furore;” wiersz 31. zamiast „i tak swą krytyką wyszydza” czytaj „i tak swą krytyką wysysa.”

Przyjechali dnia 2. listopada do Lwowa:

PP. Gnoiński Aleksander, z Krasnego. Rudnicki Teodor, ze Strzałek. Turczyński Jan, z Sopotyna. Torosiewicz Michał, z Wiednia. Borowski Ludwik, z Hołodówki. Raczynski Jakób, z Hołodówki. Cielecki Ludwik, z Łoziny. Zagórski Mieczysław, z Wołkowa. Łoś Tadeusz, hr. z Brzeżan. Turkuł Tadeusz, z Tarnopola. Czerwiński Jan, z Remizowic.

Wyjechali od dnia 30. października do 1. listopada ze Lwowa:

PP. Listowski Józef, do Kontów. Osmiałowski Szymon, do Jan-czyna. Winnicki Tytus, do Kulikowa. Bochdan Stanisław, do Przemysła.

Kurs telegrafowany z Wiednia 3. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam	—	Medyolan za 300 lirów	119 $\frac{1}{4}$.
Augsburg za 100 złr.	123 $\frac{1}{2}$.	Paryż za 300 franków	142 $\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług	—	Srebra agio	24
24 $\frac{1}{2}$ stopy	124 $\frac{1}{2}$.	Pożyczka 5% 83 $\frac{3}{4}$. 4 $\frac{1}{2}$.	—
Genoa	—	Pożyczka lit. B.	—
Hamburg za 100 tal. banco.	90.	Akcyje banku	1225.
Konstantynopol	—	Kolej północna	1712 $\frac{1}{2}$
Liwrno	—	Obl. ind.	76.
Londyn za 1 funt szterl.	11. 49 $\frac{1}{2}$.	Nowa pożyczka z loteryą	97.
Marsylia	—	Pożyczka narodowa	87 $\frac{15}{16}$.

Dzisiejszy Kurs lwowski. Gotówka towarem.

Dukat holenderski	złr. 5 kr. 44	złr. 5 kr. 46.
Dukat cesarski	5 a 50	5 a 51
Półimperyal zł. rosyjski	10 a 4	10 a 10.
Rubel srebrny rosyjski	1 a 57	1 a 58
Talar pruski	1 a 50	1 a 52
Polaki kurant i pięciozłotówka	1 a 25	1 a 26
Galicyskie listy zastawne za 100 złr. bez kuponu	85 a 38	86 a —.
Obligacye indemnizacyjne bez kuponu	73. 30 do 74	Złr. — kr.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: H. W. Kallenbach.

In M. Auer's Buchdruckerei und Verlagshandlung

in Wien, Mariahilf, grosse Stiftgasse Nr. 75,

ist so eben erschienen, und wird daselbst, sowie bei

J. Milikowski in Lemberg,

Stanisławów und Tarnow

und in allen übrigen Buchhandlungen Wiens und der Provinzen, dann bei allen k. k. Postämtern im Kaiserthume Oesterreich

Pränumeration angenommen auf:

„FAUST.“

Poligrafisch-illustrirte Zeitschrift, begleitet von Kunstbeilagen aus mehr als 30 Druckfächern.

Herausgegeben von M. Auer.—Redigirt von Dr. Hermann Eynert. M

Von dieser Zeitschrift erscheinen jährlich 24 Hefte mit 24 Bogen Text, vielen Holzschnitten und 72 Kunstbeilagen sammt einer Prämie für ganzjährige Pränumерanten, welche jedem Salon und Zimmer als Zierde dienen kann.

Preis für Wien ganzjährig 12 fl., halbj. 6. und viertelj. 3 fl. C. M. Zustellungsgebühr für Wien ganzjährig 30 r.

Für Auswärtige mit Postversendung ganzj. 14 fl. halbj. 7. fl. und vierteljährig 3 fl. 30 kr.

Ein einzelnes Heft kostet 1 fl. und die Prämie 5 fl. C. M.

Die bis jetzt erschienenen 13 Nummern liefern den Beweis, dass um diesen Preis etwas Aussergewöhnliches geliefert wird.

Die k. k. priv. und vom hohen k. k. Ministerium für Cultus und Unterricht

allen Schulen, durch welche ein schneller Schreib-Unterricht erzielt werden soll, empfohlenen

Pokorný'schen Schreibtheken,

mit vorgedruckten systematischen Vorschriften

in 9 Heften Current und 9 Heften englischer Schrift, rastrirt gebunden und beschnitten pr. Heft nur 2 kr. oder 8 Pfennige, sind durch jede Buch- und Schreibmaterialwaaren-Handlung, in Lemberg, Stanisławów und Tarnów durch **Joh. Milikowski** um diesen Preis zu erhalten.

(145) (3—3)

Carl Winkler in Brünn.

(159)

Handel galanteryjny

(2—3)

Antoniego Schicka Wdowy

we Lwowie przy ulicy dykasteryjalnej N. 56.

otrzymał właśnie wielką przesyłkę saskich i francuskich

REKAWICZEK WEŁNIANYCH,

tak zwanych sukiennych lub Buckskin.

Rękawiczki te są albo pojedynczo wełnane, dubeltowe, lub też skórą albo jedwabnym pluszem podszyte. Są cieplejsze od futrzanych a przytem zgrabniejsze bo cieńsze.

Męskie nie podszyte są od 30 kr. do 1 Złr. 48 kr. m. k.

„ „ „ „ 54 „ do 1 „ 50 „ „

Damskie nie podszyte są od 24 kr. do 1 Złr. 10 kr. m. k.

„ „ „ „ 54 kr. do 1 „ 36 „ „

Dziecinne od 20 kr. do 48 kr. m. k.

Z drukarni E. Winiarza.